

Niech rozpęta się piekło

20 września 2015

Brytyjski rząd zamierza rozpocząć działania militarne w Syrii. Jednak bomby nie pokonają ISIL, ani nie rozwiążą kryzysu uchodźców.

Na każdy problem w świecie arabskim Zachód ma tylko jedno rozwiązanie. Bomby. Faszyzujące fantazje najbardziej oszalałych z nienawiści internautów o „zrównaniu z ziemią tych barbarzyńskich krajów” powoli stają się rzeczywistością. Premier David Cameron od dawna naciska na Izbę Gmin żeby zezwoliła na działanie militarne w Syrii przeciwko bojownikom Państwa Islamskiego. Europejski polityczny kryzys, medialna paranoja i społeczne negatywne emocje wywołane problemami z uchodźcami dają mu do ręki kolejne argumenty. Obrazki zdesperowanych ludzi koczujących na Węgrzech i w Grecji przypomniały mediom o konfliktach w Syrii, Iraku, Libanie i Jemenie. Zepchnięci w cień przez inne wydarzenia jeźdźcy „apokaliptycznej sekty śmierci” – jak obrazowo nazwał bojowników PI australijski premier Tony Abbot – znów wylądowali w centrum wydarzeń. A co za tym idzie przykuli uwagę liderów politycznych.

David Cameron wykorzystuje to napięcie do powtórzenia parlamentarnego głosowania w kwestii bombardowań w Syrii. Ma wsparcie w jak zwykle bojowej konserwatywnej brytyjskiej prasie oraz w byłym arcybiskupie Canterbury – Georgu Carey’u, który w artykule opublikowanym w „The Independent” nawołuje do „zmiażdżenia Państwa Islamskiego i Al Kaidy raz i na zawsze”. Do tego chóru przystąpił także kanclerz George Osborne dla którego „militarne ataki na reżim Assada” są najlepszym sposobem na powstrzymanie „exodusu uchodźców”. Po obu stronach Atlantyku, neokonserwatyści i liberalni interwencjoniści znów narzucają narrację i proponują stare rozwiązania – intensyfikacje nalotów oraz wysłanie wojsk lądowych w rejony konfliktu. Tak jakby trwająca już czternaście lat „wojna z

terroryzmem” niczego nas nie nauczyła.

KARA ŚMIERCI Z NIEBA

Premier Wielkiej Brytanii kampanię na rzecz bombardowań w Syrii rozpoczął od ujawnienia zabójstwa trzech osób, w tym dwóch obywateli Wielkiej Brytanii, dokonanego przez RAF w mieście Rakka. Ten pierwszy atak brytyjskiego drona został przeprowadzony wg. słów premiera „w samoobronie”, bo grupa zaatakowana przez RAF planowała „barbarzyńskie” napaści w Wielkiej Brytanii i dlatego użycie przeciwko niej samolotu bezzałogowego było „prawnie uzasadnione”. Egzekucja Reyaad Khana, Ruhul Amina i Junaid Hussaina odbyła się bez procesu, świadków i dowodów. Ta egzekucja, bez względu jak opisują ją legaliści, narusza fundamentalne zasady liberalnego państwa prawa. Państwa, którego „demokratycznych wartości” David Cameron chce „chronić”. W Wielkiej Brytanii nie ma kary śmierci i nawet najgorsi zbrodniarze tj. chociażby Peter Sutcliffe zwany rzeźnikiem z Yorkshire, który zamordował trzynaście kobiet i próbował zabić kolejne siedem mają prawo do obrony. Sutcliffe odsiaduje dziś wyrok dożywocia. Brytyjczycy, którzy walczyli w szeregach Państwa Islamskiego – nawet jeśli byliby uznani winnymi zarzucanych im czynów również powinni być poddani takim samym procedurom. Zamiast tego musimy wierzyć na słowo służbom specjalnym, że faktycznie brytyjscy dżihadziści planowali ataki na terenie Wielkiej Brytanii.

„Zabijanie celowane”, jak wojskowym żargonie nazywa się morderstwa dokonywane przez samoloty bezzałogowe odbywa się w szarej prawnie strefie. W 2010 roku specjalny sprawozdawca Komisji Praw Człowieka ONZ postawił je na równi z zamachami FSB na przywódców czeczeńskich i z zabójstwami członków Hamasu cyklicznie dokonywanych przez izraelski Mossad. Tajność programu dronów daje rządowi amerykańskiemu licencję na zabijanie poza wszelką odpowiedzialnością karną i bez zachowania standardów prawa międzynarodowego. W latach 2004-2013 Stany Zjednoczone przeprowadziły ponad 300 ataków

dronów w Pakistanie. Szacuje się, że w atakach zginęło od 400 do 900 cywilów. Nie przeprowadzono żadnego śledztwa w sprawie tych śmierci, nikt nie został pociągnięty do odpowiedzialności. Drony zabijają też w Afganistanie (680 ofiar w tym 42 cywilów), Jemenie (700 i 97) i Somalii (108 zgonów). Odstawiając na bok już wszelkie wątpliwości moralne, humanitarne i prawne, drony okazały się skuteczną bronią. Samoloty bezzałogowe są bowiem najlepszym rekruterem dla Al Kaidy i ISIL. Zamiast rozwiązywać problemy jedynie eskalują przemoc.

WOJNA BEZ KOŃCA

Panuje niemal powszechna zgoda, że dramat ofiar wojny domowej z Syrii można zakończyć jedynie poprzez ustabilizowanie regionu, czyli mówiąc żargonem z mediów społecznościowych „zrobić porządek tam na miejscu”. Schody zaczynają się jednak w momencie opracowywania szczegółowych planów i strategii do walki z kolejnymi wcieleniami islamskiego terroru. Bo te, które Zachód do tej pory stosował nie rozwiązują problemów. Wręcz przeciwnie. Zachodnia polityka pięści zapoczątkowana przez Georga Busha jedynie eskaluje konflikt i kreuje kolejne komplikacje.

„Cokolwiek zamierzały osiągnąć inwazją na Irak w 2003 r. i próbą obalenia Asada, intencją mocarstw zachodnich nie było utworzenie państwa dżihadystów kierowanego przez ugrupowanie sto razy większe i lepiej zorganizowane niż Al-Kaida Osamy bin Ladena” – pisał Patrick Cockburn, bliskowschodni korespondent dziennika „The Independent”, w książce „The Rise of Islamic State” („Narodziny Państwa Islamskiego”).

Po kilkunastu latach ataków dronów Talibowie znów szaleją w Afganistanie, a w Jemenie jesteśmy świadkami reaktywacji Al Kaidy. Dżihadziści w Iraku i w Syrii mimo nieustającego zagrożenia z powietrza stopniowo rozszerzają swoje terytorium działania i kontrolują coraz większe obszary. Bez wsparcia wojska na ziemi ataki powietrzne nie są w stanie wygrać wojny.

Przeciągają ją jedynie w nieskończoność. Alternatywą jest operacja wojskowa na wielką skalę i wieloletnia okupacja. A ta, jak pokazuje przykład Iraku, kończy się katastrofą. Wróg, z którym dzisiaj nie sposób się uporać wyłonił się z oddechu długich lat tyranii, deptania sprawiedliwości i katastrofalnych błędów politycznych Zachodu na Bliskim Wschodzie. Z chaosu, w jakim pogrążył się Irak po obaleniu przez Amerykanów reżimu Saddama Husajna.

Doradca prezydenta Obamy ds. Bliskiego Wschodu, Philip Gordon, ogłosił wręcz, że Ameryka nic nie jest w stanie zrobić w sytuacji, gdy konflikty w świecie arabskim są wynikiem rozpadu sztucznych państw stworzonych przez Zachód po I wojnie światowej i rozmrożenia tamtejszych antagonizmów religijno-sekciarskich. Tragedia Iraku, ogarniętego płomieniem wojny religijnej, jak i Syrii, Libii i Jemenu, pogłębia się. Można się było tego spodziewać po decyzji o inwazji w 2003 r. podjętej przez George'a W. Busha i katastrofalnej polityce okupacyjnej, co uruchomiło sekwencję fatalnych wydarzeń. Przez ostatnie czternaście lat Zachód płaci za swoje kardynalne błędy popełnione przez wywołanie „wojny z terroryzmem”. I co gorsza nie uczy się na własnych błędach. Do tego jeszcze w Syrii toczy się dziwna „wojna zastępcza”. Według znawcy Bliskiego Wschodu Gillesa Kepela trwa tam walka między Iranem, wspomaganym przez Hezbollah i Rosję, a krajami Zatoki Perskiej, wspieranymi przez Amerykę i Izrael. Jedyną szansą na wyciszenie konfliktu jest rozpoczęcie pokojowych rokowań mocarstw i państw regionu. Grupy terrorystyczne żywią się chaosem, destabilizacją, napięciem i spiralą przemocy. Najlepszym sposobem na pokonanie ISIL jest zakończenie konfliktu w regionie. Militarne zaangażowanie się Wielkiej Brytanii w tę wojnę jedynie oddali perspektywę pokoju.

Autorstwo: Radosław Zapałowski

Źródło: eLondyn.co.uk